Lwów, 3 Maja. Nr 52. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr miesieczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztowa rocznie **8** Złr. — połrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział VII.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Okoliczności też sprzyjały niepospolicie rozwinięciu tego stosunku sympatycznego, łączącego te trzy serca, bo żadnym fałszywym dźwiękiem nie śmiały przerwać tej niebiańskiej harmonii. Jedyną przeszkodą mógł być brygadyer, o którego posępnem i nieprzyjaźnem wiemy już usposobieniu, i jego też pani Wolińska bala się najwięcej instynktowem rzecby można wiedziona uczuciem, bo powodu wyrozumowanego nie miała żadnego. I to uczucie do tego stopnia było w niej posunięte, że z razu najstaranniej to przestrzegała, aby się jej mąż nie zdybał z Witołdem. Dla czego? na to nie umiała by odpowiedzieć; może bała się, by jej nie pozazdrościł tego znalezionego skarbu, by wzrokiem zawiści nie zatruł tego błogiego uczucia. Nie trudno jej to przyszło, bo jak wiemy, brygadyer nie bardzo lubił towarzystwo żony swojej, i albo samotny siedział na drugiem zamku skrzydle, albo co najczęściej, kilkodniowe i tygodniowe nawet robił wyprawy w bliższe i dalsze sąsiedztwa. Dowiedział się w prawdzie, że jakiś chłopiec, wychowaniec klasztorny, mający wielki talent do malarstwa, daje lekcje rysunku Antosi, ale przyjął tę wieść ze zwykłą swoją dla rodziny obojętnością, i niebyl ciekawy widzieć tego nauczyciela, a nawet gdy go raz ujrzał w ogrodzie chodzącego z Antosią, wcale mu nie przyszło to przez myśl, przypatrzyć mu się z blizka. Później znudziła go do reszty samotność, znudziły go przejazdki w sąsiedztwo, postanowił zatem dalszej sprobować wyprawy, ażali nie rozerwie go lepiej, i nowych nie nada sił żywotnych ztępionym jego uczuciom. Dla przyzwoitości zapytał żony, czy by nie miała ochoty wyjechać z nim gdzie do wód za granicę. Na te słowa dreszcz radości przebiegł przez serce biednej matki, której nadarzała się sposobność pozostać sam na sam z synem; podziękowała zatem mężowi, i odmówiła z czego brygadyer najszczęśliwszy, wyjechał zaraz do wód, a choć na parę tygodni zimowych zawitał do domu, ledwie się z żoną i dzieckiem widział, tak był zajęty urządzeniem pieniężnych interesów. W krótce na nowo wyjechał, ale tym razem już nie wrócił do domu na zimę, bo wolał ją przepędzić w Paryżu, owczesnej stolicy całego świata. Zasmakował snać w roztrzepanem życiu francuskiem, bo mijały lata, a brygadyer nie wracał do domu. Rozmaite i nie wesołe dochodziły wieści do pani Wolińskiej, o rozwiązłem i rozrzutnem życiu jakie jej mąż prowadzi w Paryżu, ale wieści te nie obchodziły ją zupełnie. Co jej tam znaczył świat cały, kiedy zdala od wrzawy światowej mogła się oddawać najwznioślejszemu i najczystszemu uczuciu matki do syna. Po czteroletnej prawie niebytności wrócił nareszcie brygadyer przed parą tygodniami dopiero z zagranicy, ale chmurniejszy i posępniejszy niż dawniej, ledwie kiedy zaglądnął do żony; zamknięty u siebie mało gdzie wychodził, nie wiele wyjeżdżał, oddany jakimś myślom zgryźliwym, które odbijały się w jego rzadkich ale burzliwych najczęściej słowach.

Jak więc mówiliśmy wyrobił się spokojnie ten stosunek uczuciowy, którego koleje były tak spokojne, że nic dziwnego, iż Witołd nie mógł i nie potrzebował nawet zdawać sobie sprawy z uczuć jakie go do Antosi wiązały. Z początku dawał jej nauki w rysunku, w którym wszakże młoda dziewczyna nie wielkie robiła postępy, bo się jej zdawało, że nigdy nie z doła wznieść się do wysokości talentu swego mistrza. Nauka ta była pozorem tylko, i nieraz zatrzymywała go matka w Słobódce, tak że Witołd po całych dniach i tygodniach nawet bawił w domie, który uważał prawie za swój własny. Antosia miała wielką skłonność do muzyki, i pod przewodnictwem matki biegłej bardzo na fortepianie, tak znaczne robiła postępy, że wkrótce odwdzięczając się nauczycielowi swemu, udzielała mu nawzajem nauki muzyki a mianowicie spiewu, w którym celowała, będąc z natury obdarzona pełnym i dźwięcznym głosem. Wzajemne te nauki trwały ciągle, choć już oboje wyrośli w młodzieńca i dziewicę, i choć były już po większej części pozorem tylko i niejako pokrywką rozmów samotnych, które codzień więcej miały uroku. Oboje wychowani w samotności zaludnionej jeno uczuciem silnego przywiązania, nabyli tej poezyi uczuciowej, marzącej, po drabinie marzeń do nieskończoności sięgającej, która tak łatwo owładnąć zdoła w wiośnie życia dwa serca młode, żadnym jeszcze zawodem nieskaleczone, dwa umysły niewinne, pobożne i czyste, niezepsute doświadczeniem, najszczytniejszych natchnień zdolne. Jak dwa ptaszki wolne, po powietrznej bujające przestrzeni, jeżeli się wzniosły, to ku niebu tylko,

jeżeli się ku ziemi zniżyły, to by odpocząć na wonnym kwiatku, na zielonym krzewie, by zaspiewać piosnkę wiosenną, wiosennem obwiani tchnieniem. Jedynym fałszywym akordem w tem ich życiu pełnem harmonii, bywały odwiedziny obojętne sąsiadów, między któremi najmniej miłą była bytność młodego Wendy, który coraz częściej zaczynał odwiedzać Słobódkę, i za każdą bytnoscią swoją silił się na najniesmaczniejsze, bo prozaiczne, chociaż wyszukaną galanterją przesiąkłe grzeczności, jakiemi obsypywał Antosię. Mianowicie od czasu powrotu brygadiera do domu odwiedziny stawały się coraz częstsze, coraz większą galanterją odznaczane. Brygadier mimo różnicy wieku, więcej upodobał sobie młodego Artura, i często odwiedzał wnuka starego chorążego, któremu dziad znaczny folwark osobny oddał w posiadanie.

Witołd za przybyciem Artura uciekał ze Słobódki, i zamykał się w pracowni swej klasztornej, przykrym oddany uczuciom. Pierwsze w życiu obudziło się w nim instynktowe uczucie nienawiści do młodego Artura: jego grzeczności dla Antosi rodziły ból jakiś wewnętrzny, z którego nie umiał sobie zdać sprawy, i tłumaczył sam przod sobą pogardą jaką czuł do młodego człowieka, o którego życiu próżniaczem i rozwiązłem wiedziano w całem sąsiedztwie, i którego duma zuchwała i niepowściągniona robiła wszystkim sąsiadom nieznośnym. Dumy tej nikomu tak chętnie nie okazywał jak naszemu bohaterowi, którego za każdem acz rzadkiem zdybaniem traktował z całą impertynencją paniczowską, tak właściwą zawsze naszym półpankom i półgłówkom. Dumie tej odpowiadał Witołd szlachetną swej wyższości umysłowej i moralnej dumą. Do odrazy jaką czuł do niego przykładało się najwięcej przekonanie o moralnem zepsuciu młodego panicza, z którego po sąsiedztwach nieraz sam szczycił się rozpowiadając swoje awanturki miłosne, jakich miał bardzo wiele mimo młodego wieku. Zepsucia tego oburzające dowody miał nawet nasz bohatyr nieraz, widząc jak niepostrzeżony przez Antosię i jej matkę, starał się przypodobać młodej Rózi, która wychowana razem prawie z Antosią, z całym zapałem młodości kochała rodzinę, której służyła.

Takim był stosunek jego w Słobódce, wyrobiony przez sześć lat wspólnego, rodzinnego prawie pożycia tych trojga kochających się istot. Dla nich był dotąd rajem prawdziwym, bo żadną brudną myślą niepokalanym. Ojciec Dominik cieszył się tem szczęściem swego wychowańca, a choć nieraz zabołało go w sercu to przekonanie, że już przestał być wszystkiem dla Witołda, myśl tę taił przed nim, a siebie pocieszał tem przeświadczeniem, które wmawiał w siebie, że jest to wola opatrzności, której bez mruczenia oddać się potrzeba.

Słowa Artura budząc bohatyra naszego z tego blogiego życia, stały się dlań gromem z pogodnego nieba wypadającym, ciosem podwójnie bolesnym, bo się zarazem przekonał że Antosię kocha nie jak siostrę, i że ta Antosia, z którą by się kiedy mógł rozdzielić, ani mu przez myśl nie przyszło, może stać się żoną; niegodnego i nienawistnego Artura. Piekące uczucie zazdrości, rozdarło tę zasłonę niewinnych marzeń, która dotąd pokrywała jego do Antosi przywiązanie.

Pod przewagą tych wrażeń wpadł do pracowni by w niej znaleśc odpowiedź na swoje wątpliwości.

— Ja miałbym ją kochać! kochać tę która jest siostrą moją, jeżeli nie z urodzenia, ale siostrą przybraną, mówił sam do siebie. Ależ ona nie jest moją siostrą. Nie!... I do tegoż zemną przyszło, abym ja, dziecko znalezione, bez imienia, za tyle przywiązania doznanego od tego anioła matki, od tego anioła córki... ja bym śmiał!... Czyliż nie słusznie zarzucał mnie ten Artur moje zuchwalstwo, i równał moje postępowanie ze swojem haniebnem względem biednej dziewczyny prostej. Słusznie! słusznie! jam stokroć gorszy! Ale ona nie będzie wiedzieć o tem, ja wydrę sam sobie to uczucie, choćby z sercem, chocby z ostatnią krwi kroplą. Nie dowie się nigdy,.. Ale jeżeli... o Boże co za radość, co za rozpacz!... jeżeli ona mnie także kocha!

Tak mówił do siebie Witołd, biegając po pracowni gorączkowym pędem.

-- Nie! nie! to próżna obawa! Tu są obrazy, w których spoczywają wszystkie myśli moje, i wszystkie uczucia, od chwili jej poznania. Czy jest w nich choć jedna myśl mniej czysta? jedno uczucie występne? tu są twarze aniołków, tu twarze świętych, wszędzie są jej rysy cudowne, ulubione; czyliż by mi nie zadrzała choć raz ręka malując je, i mimowolnie niezeszpeciła rysów ciemniejszym czarnej myśli odcieniem. Patrzmy.... wołał i biegał od obrazu do obrazu.

Dla czegoż coraz smutniejszy wyraz występuje na twarz jego? Czyliż mógł co dostrzedz w tych naiwnie niewinnych zarysach, które zewsząd patrzą na niego anielskim wyrazem własnych myśli, i uroczych rysów Antosi. Śmiało może popatrzyć malarz oko w oko własnym utworom, i śmiało przywołać pamiątkę każdej chwili, każdem poruszeniem pędzla odznaczonej! A przecież! dla czego w każdym najmniejszym obrazku jest jakaś jakby mgła, która całość obrazu obsłania wyrazem niby tęsknym, niby żałośnym. W każdym obrazie jest obok najczystszego wyrazu, obok najjaśniejszego światła jakiś odcień posępny, czy to w ciemnem tle, czy to jakby w niebie chmurnem przyszłej żałoby.

Biedny młodzieniec w tej chwili obrachunku sumienia chciał odgadnąć przyczynę swojej własnej maniery, wypływającej z tego niczem nieodgadnionego zarodku, który pozostaje w człowieku, rozrasta się mimowolnie, i staje się potem jego właściwością, częścią jego samego przeważnie wpływającą na jego całe życie, staje się tem co zowiemy przeznaczeniem, fatalizmem. To pewna że w każdej jego robocie ta jakaś myśl smutna w niepewną przyszłość wska-

zująca, odbija się choćby jednem ledwie dostrzeżonem odcieniem.

— Miałożby to być przeczucie chwili dzisiejszej, zarzutu jaki sobie słusznie czynię? zarodek tego uczucia okropnego wyrabiający się wtenczas jeszcze, kiedy ja dziecko, Antosię dziecko braterską pokochałem miłością. Lecz to jest ostatni obraz, który zacząłem pod wpływem ostatnich wrażeń moich.

I pobiegł do obrazu nieskończonego jeszcze, który stał na środku pracowni. Obraz ten był portretem Antosi w portrecie ś. Cecylii grającej na organach. Cudownie to piękna twarz była: ziemski jej wdzięk łączył się po mistrzowsku prawdziwie z wyrazem wyższego natchnienia. Natchnienie to widoczne w całej twarzy, strzela z oka wyrazem myśli anielsko harmonicznej, która bujając tam po niebieskiem przestworze, zdaje się chcieć przejrzeć i zrozumieć tę harmonią, twórcy ręką po wszechświecie rozsianą, by palcami organów dotykającemi oddać ją w tonach natchnionych, z czystej i świętej myśli wydobytych, Boga którego chwale są poświęcone godnych.

Wpatrzył się młodzieniec w obraz z uwagą natężoną, i nagle zadrżał. Czy mu się tak zdało, czy tak było w istocie, dostrzegł koło ust cień jakiś jakby bolu wewnętrznego, to w oka natchnionym wyrazie, jakby ciemne odbicie jakiegoś smutku. Jakby święta natchnione w niebo rzucając spojrzenia, chciała w widoku tej odwiecznej harmonii utopić jakieś cierpienie ziemskie w głębi duszy dotąd ukryte.

Im dłużej się wpatruje, tem mu widoczniej występują z obrazu te dwa cienie, ćmiące ogólny wyraz niebiańskiego spokoju. I przypomina sobie chwilę gdy zaczął malować ten obraz; było to tak przecie niedawno, iż zda mu się widzieć każdy ruch tej pięknej twarzyczki ku niemu zwróconej. I znowu zadrżał, bo przypomniał sobie jak ona w tej chwili odezwała się do niego z półuśmiechem:

— Tylko nierób mnie Witołdzie tak bardzo świętą!.....

I w tej to chwili zapewne, w uśmiechu i spojrzeniu jej odbił się ten cień wiernie na obrazie oddany. A więc te słowa nie były kapryśnem wesołej dziewczyny ozwaniem się. Może się już w nich głębsza kryła myśl. Jaka? Może odbicie jego własnej myśli splamionej już zapalczywem wpatrywaniem się malarza w cudowny wzór swój.

Niedowierza sam sobie, i ciągle wpatruje się w obraz z wzrastającem uczuciem niepokoju. A te dwa cienie bolu i smutku coraz jaśniej występują, zwiększają się, olbrzymieją przed wzruszonem spojrzeniem malarza. Porwał się młodzieniec za głowę; po latach wielu pierwszy raz znowu zabolało go jak dawniej w dziecinnych latach to miejsce na głowie dawniej zranione: dawna ozwała się blizna, wieniec cierniowy zakłół go w głowę. Mimo wzmagającego się bolu, młodzieniec oka nie spuszcza z obrazu; oba cienie bolu i smutku zdają się rozprzestrzeniać coraz dalej, coraz szerzej po całej twarzy, krzywią ją coraz bardziej, coraz okropniej, aż do wyrazu zupełnej rozpaczy. A twarz tym sposobem przerobiona, bolem pokurczona, rozpaczą połamana zdaje się odzywać do młodzieńca skamieniałego:

— Taką mnie twa miłość zrobiła!

Stan ten nieznośny, stan ten bolesnego szału trwał długo, bardzo długo, a gdy z niego zbudził się nareszcie młodzieniec ulżywszy sobie kilką łzami gorącemi, które potoczyły się mu po twarzy, podniósł bolem zmęczone czoło w górę, a usta otworzył jakby do modlitwy i sam do siebie z silnem przemówił postanowieniem:

— Jam się powinien poświęcić! Ona niech będzie szczęśliwa! niech będzie spokojna! Ona zapomni gdy mnie więcej widzieć nie będzie!

— Nigdy! nigdy już nie będę w Słobódce! nigdy! wymówił.

I płacząc jak dziecko zasłonił obraz, którego już kończyć nie chciał. Przepłakał biedny młodzieniec ból głowy, ale nie wypłakał miłości, która się rozbudziła silna i namiętna w młodem i niezepsutem młodzieńca sercu.

Rozdział VIII.

PIERWSZE WYZNANIE.

W kilka dni potem wybrał się szambelan do Słobódki i przez całą drogę rozmyślał, jakby to mógł najzgrabniej rozmówić się z panią Wolińską o miłości Witołda do Antosi. Czuł on to, iż obowiązkiem prz estrzedz matkę; chociaż bowiem bardzo był przywiązany do bohatyra naszego, za nadto był człowiekiem swojego wieku i swojej kasty, by nie uczuł wewnętrznego wstrętu do takiego związku między panną dobrze urodzoną, a człowiekiem nieurodzonym zupełnie. Z drugiej znowu strony, radby był wynalazł jaki sposób pogodzenia tych trudności, aby i przesądy zostały ocalone i Witołd był szczęśliwy. Nadtem więc głównie łamał sobie głowę, szczęśliwy poczęści, że mu nadarzyła się sposobność, odegrać i to jedną z głównych ról w jakiemś romantycznem zawikłaniu, i wypróbować sił swoich w tego rodzaju negocjacjach, zardzewiałych już nieco przez długi przeciąg czasu nieczynności w tej dzikiej Litwie. A wiemy już że to właśnie była najsłabsza strona naszego poczciwego szambelana, który przez całą drogę układał słowa i frazesa, z jakiemi wystąpić mu wypadnie, aby nie przerazić brygadierowej nagłem odkryciem rzeczy. Z całem natężeniem swojej poczciwej ale lekkiej głowy, przypominał sobie wszelkie w takich razach używane przezorności, okrążania, rzucane od niechcenia słówka, a jeszcze więcej znaczące przycinki pewnym słowom dodane, i dyplomatyczne wykrzykniki.

(C. d. n.)

NA SKALE.

Na skale omszonej,
Nad przeźroczem fal,
Młodzian pochylony
Duma — patrzy w dal.

Na czole młodziana,
Świeży blizny znak,
W sercu świeża rana:
Życie poszło wspak.

Na skale omszonej
Nad przeźroczem fal
Młodzian pochylony
Duma — patrzy w dal.

Czy gdzie chatka w dali
Bieleje śród drzew?
Nie — tam tylko w fali
Zachód lśni jak krew.

Na skale omszonej,
Nad przeźroczem fal,
Młodzian pochylony
Duma — patrzy w dal.

W dali w blasku słońca
Krzyż mogilny drzy:
Pod nim od miesiąca
Tysiąc trupów spi. —

Jan Bar.....

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE.
(Ciąg dalszy.)

Wymieniliśmy tu główniejsze familie państwa kopalnego i roślinnego, aby dać charakterystykę różnych pasm Kaukazu; niżej wymienimy skarby trzech królestw przyrodzenia, o ile dotąd zostały poznane tak na powierzchni tej bogatej ziemi, jako i w jej łonie. Teraz zrobimy jeszcze wzmiankę o stronie jego tajemniczej i podaniowej. Widok dziwacznych i potwornych, wiecznym pokrytych lodem szczytów kaukaskich, blyszczących jakby szereg olbrzymich brylantów, jakiemiż przesądami zapełnić musiał w ciągu wielu wieków żywą wyobraźnię patrzących tylko zdaleka na nie nieoświeconych ludów. Każda też osada prawi cudowne rzeczy o tajemniczych siedliskach śród gór i uroczych dolinach, do których żaden śmiałek jeszcze się nie dostał. Tu można słyszeć powieści o olbrzymim ptaku-górze, który nigdy nie umiera; o odgłosie niezmiernego dzwonu, rozlegającym się niekiedy z jakiegoś pustelniczego klasztoru, do którego nikt jeszcze nie doszedł; o jakiejś osadzie chrześciańskiej w najpiękniejszem i najniedostępniejszem osiedlonej miejscu, do którego zniką̇d żadnego nie ma przystępu. W Tuszetii, jednej z prowincyi zakaukaskiej, wznosi się góra potwornej i przestraszającej formy; nazwisko ma góry Amirańskiej, a to od imienia Amirana, o którym Tuszetowie i Kachetowie mają podanie, jakoby za jakąś dumę przeciw Stwórcy został w łonie góry w ogromnej pieczarze zamknięty i do skały dwoma silnemi przykuty łańcuchami. Dwa jego wierne psy dzień i noc gryzą te okowy, aby go z nich uwolnić. Raz tylko w dzień Nowego Roku otwierają się drzwi jego więzienia. Przegryzione łańcuchy już zaczynają pękać; olbrzym wyciąga straszną rękę po miecz ogromny tuż leżący koło niego; już ma go pochwycić i jednem cięciem cały świat zburzyć, ale szczęściem że kowale, którzy według starożytnego zwyczaju idą w ten dzień do kuźni i po trzy razy uderzają młotami po kowadle, na nowo umacniają łańcuchy tego potworu, i świat znowu na rok cały zabezpieczają od jego zemsty. Łatwo dostrzedz w tem podaniu poetyczny ów myt grecki o Prometeuszu przykutym do Kaukazu; a nadto w blizkości wznosi się góra nazwana Sępią, jakby przypominająca tych sępów, co szarpały wnętrzności starożytnego olbrzyma. Amirańskie szczyty wznoszą się w blizkości największego wąwozu Cyblon zwanego; pokryte ogromnemi skałami i sosnami, są siedzibą największych kaukaskich orłów, górnych kóz, jeleni, turów, najdzikszych niedźwiedzi. W końcu malowniczego wąwozu nazwiskiem Ałaźnistawi, wznosi się kopuła olbrzymiej góry Bokbała zwanej, wylewającej z łona swego źródła mnóstwa większych i pomniejszych rzek kaukaskich. Dalej znowu na pograniczu ziem Cowskich z Kistyńskiemi, jaskrawo błyszczy szereg niebotycznych słupów lodowych, noszących nazwisko lodownika Stautskiego, odbijających tęczowe barwy, a czasami zbyt rażących jaskrawością promieni wschodzącego lub zachodzącego słońca. Natura tu dokoła obumarła. Swobodnie błądzą tu niedźwiedzie i ogromne tury, szukające chłodu latem: królowie tych odludnych, przerażających i przezroczystych podniebnych gmachów. Rzadki myśliwy odważa się wkroczyć w te strony nie oznaczone śladami stopy ludzkiej; z wielkiem niebezpieczeństwem stąpa po usypanych śniegiem bokach góry, a czasem przywiązuje się do długiego drągu na krzyż, aby wpadając w zdradliwą rozpadlinę ukrytą pod śniegiem, mógł na nim zawisnąć i tak ocalić się od obsunięcia w przepaść.

Zatrzymaliśmy się nieco nad opisem głównego łańcucha gór kaukaskich, gdyż on tu pod wszelkim względem ważną gra rolę; od niego cały kraj po którym będziemy oprowadzali czytelnika, odebrał nazwisko Kaukazu; od niego można powiedzieć zależą tak klimat i bogactwo natury, jako też losy całej krainy kaukaskiej i przyszłość li-

cznych pokoleń, tłumami około niego rojących się od czasów jeszcze przedhistorycznych.

Na północ od grzbietu kaukaskiego rozwija się obszerna równina, zwana stepem podkaukaskim, ciągnąca się ku północy aż do Donu i zlewająca się ze stepem wołgskim. Z zachodu tylko od głównego pasma oddziela się jedno jego ramię wzgórz, kierując się ku północy; kończy się pięcioma wierzchołkami Besztau, następnie spada, a za Georgiewskiem i Stauropolem równa się z płaszczyzną stepową.

Grunt na tej obszernej płaszczyznie w ogóle gliniasty, z częściami piasku i soli zmieszany. Tak studnie, jeziora, jako i rzeki mają wodę po większej części gorzko-słoną, z czego wnoszą, iż kiedyś ta ziemia musiała stanowić dno morskie. Miejscami obszerna ta równina żyznym pokryta czarnoziemem, piękne wydaje zboża przy małej nawet o niej troskliwości, i rodzi soczyste niezmiernej wielkości kawony i melony. Wschodnia jej połowa, obok bujnych łąk, często przedstawia obszerne wydmy ruchomego piasku, z którego wiatry usypują wysokie kurhany, przenoszące się z miejsca na miejsce i mające nazwisko borunów. Lecz za to wzdłuż Tereku krzewią się liczne winnice, stanowiące bogactwo kozaków liniowych. Z gór niektórych wznoszących się po tej obszernej równinie, wytryskują liczne źródła wód mineralnych, jakoto: z pod Maszuka, jednej z gór Besztowych siarczane, kwaśne w Kisłowodzku i wiele innych poza Terekiem, albo sączy się nafta. Klimat w ogóle tu podobny do klimatu południowej Rossyi.

Dagestan, jako kraj górzysty, leżący ponad morzem Kaspijskiem, inną przedstawia charakterystykę. Stanowi on płaszczyznę wyniosłą: na granicy jej północnej od zachodu na wschód, ciągnie się pasmo od głównego łańcucha poczynając, i formuje wiele urwistych zakrętów; nareszcie kończy się warownią Derbentską, jakby uzupełniającą ten naturalny szaniec skał pierwszej formacyi. Większa część gór przerzynających Dagestan we wszystkich kierunkach, uwieńczone są gęstemi staremi lasami. Odwieczne jawory, topole, buki, jesiony, lipy swobodne szumią ponad przepaściami niedostępnemi stopie ludzkiej, wspinając się po górach do ostatniej granicy, zakreślonej ręką natury dla państwa roślinnego. Po tysiąc lat niektórym z tych drzew śmiało można liczyć. Doliny zaś przerznięte rzekami uciekającemi do morza, przedstawiają siłę wegetacyi trudną do pojęcia, ocieniając się czarownemi i malowniczemi gajami drzew owocowych, granatów, brzoskwiń, śliw, jabłoni, wiśni, morwy i wina.

Lecz jakże różny od kraju kaukaskiego, kraj zakaukaski. Przejdźmy tylko poza ten naturalny wał dzielący Europę od Azyi: od południowej skalistej i nagiej ściany kaukaskiego pasma, środkiem Zakaukazu zaległy góry Wakchańskie, formując jakby most łączący je z górami Armenii. Na wschód i zachód wypływają z tej wyniosłości główne rzeki Zakaukazu, a licznie rozchodzące się od nie odnogi i załamy na jednę i na drugą stronę, kształtują wiele górnych i dolnych równin, już to wzdłuż rzek, już na wyniosłościach, które różniąc się klimatem, gatunkiem gruntu i płodami, nadają ten nader różny i urozmaicony charakter Zakaukazowi. I tak niektóre z tych równin, jak np. Wozdachska ciągnąca się między Alazanią i Kurą, Kartalińska rozścielająca się u źródeł Kury, lub Armeńska na 5,500 stóp nad morze wznosząca się, leżąc wysoko, na grzbietach wyniosłych górzystości mają klimat chłodniejszy, zboża rodzą się bez polewania i dojrzewają późno. W Alexandropolskim powiecie i w Achałkałaki, pszenica dojrzewa w końcu dopiero sierpnia i w połowie września. Równiny zaś w dolinach rzek, jak np. Niżowie Rionu, lub Pomorze Kaspijskie, leżąc w blizkości morza, albo jak dolina Kachetyńska czyli Alażańska w sąsiedztwie gór śniegowych, odznaczają się klimatem ciepłym, zarazem wilgotnym i dziwną wegetacyą. Zimą i latem kwitną kwieciem i zielenią się trawą smugi, a w początku czerwca kończą się zupełnie żniwa. Lecz jest też wiele miejsc za Kaukazem, mających klimat zbyt gorący i suchy latem, a ostry zimą. W dolinie ponad Araxem, okolonej górami ze strony morza, upały latem dochodzą do 60 stopni, zimą zaś mrozy na 20 bywają stopni. Ta różnica ogromna między upałami a mrozem, 80 stopni wynosząca, zbyt dotkliwie działa tak na organizm ludzki, jako i na roślinność. Nic się tu nie rodzi bez polewania, prócz piołunu i tarniny; gdy tymczasem w dolinach dostępnych dla wilgotnych wiatrów morskich, lub chłodnych górzystych, dojrzewają najwyborniejsze gatunki win, granaty; a na południowym brzegu Kaspijskiego morza rodzą się nawet cytryny i pomarańcze, i rośnie bawełna.

Dziwacznym sposobem natura postępuje sobie niekiedy w dziełach swej twórczości. Ogromne kaukaskie szczyty od strony wschodniej zbliżając się do morza Kaspijskiego, coraz bardziej się równają, nareszcie zstępuja na przymorską nizką płaszczyznę, po której rozsypała natura massy soli, a w okolicach Baku wylewa źródło nafty, lub zapala wulkany gazowe. Przeciwnie postępując ku południowi, grunt Zakaukazu coraz się więcej podwyższa, formując wielką wyniosłą płaszczyznę Armenii, na której rozlewa się obszerne jezioro Hek-czaj, nie podsycane żadną większą rzeką, a żyzne czarno-ciemne jego okolice wydają najpiękniejsze zbiory pszenicy, kukurydzy i obfitują w bawełnę.

(D. n.)

Niedostatek a dzielność duszy.

Przed kilkoma miesiącami doniosły dzienniki o śmierci dwu znakomitych ludzi: *Jana hr. Mailatha i Gerarda de Nerval.* Śmierć ich sprawiła wrażenie, już dla tego, że była nie naturalną, bo sami ci mężowie przecięli samowolnie

nić życia swojego, powtóre że obaj odznaczyli się jako znamienici pisarze, a pierwszy należał oprócz tego do znakomitszej rodziny węgierskiej. — Jan hr. Mailàth; syn byłego ministra węgierskiego, dziejopisarz (autor dwu wielkich dzieł: historyi Węgier i państwa austryackiego i wielu drobniejszych rozpraw) i belletrysta (napisał zbiór podań madziarskich, poezye) człowiek olbrzymiej pamięci i rozległej wiedzy, żył w ostatnich czasach w Monachium, a zakończył życie w jeziorze bawarskim Starenberg. Towarzyszyła mu w życiu i w śmierci córka, której poświęcając niegdyś zbiór podań madziarskich, napisał niemal następujące słowa: *Ulubione dziecię moje! Prosiłaś mię bym ci darował którą z książek co piszę. Ofiaruję ci zbiór podań narodu, do którego należysz — zlewając na cię całe moje ojcowskie błogosławieństwo z życzeniem przyszłego szczęścia w pośród twego narodu.*" W lat kilkanaście to samo dziecię nie odstąpiło ojca, wszędzie mu towarzyszyło, a gardząc nakoniec szczęściem, którego mu ojciec życzył, skończyło wraz z nim w falach jeziora. I w śmierci nie ustał ścisły między nimi związek, bo ciała ojca i córki znaleziono związane szalem.

Mailàth żył w niedostatku. Rozpatrując się w dziejach narodu swego i państwa, do którego należał, kreśląc rozwój dziejowy, obliczając chwile bytu narodów, nie umiał podobno zastanawiać się nad stosunkami swego ciasnego życia domowego — a może umysł jego wyższy gardził tak prozaicznem zatrudnieniem — słowem, w życiu własnem nie był dobrym gospodarzem, a niedostatek nawiedzał go często, nakoniec przycisnął całem brzemieniem nagiej rzeczywistości. Mailàth z całą tradycyą rodu nie umiejąc się zastosować do nowego położenia, za dumny, aby żądać wsparcia, chwycił się środka, który nastręczyła mu rozpacz i sam się wyrwał ze świata, który go cisnął silnemi ramionami rzeczywistości.

Gerard de Nerval, poeta francuski znający kilka języków europejskich, tłumacz poetów niemieckich, mianowicie *Göthego Fausta*, i to tłumacz niepośledni, jeśli autor sam napisał mu te słowa: „*Nigdym się tak dobrze nie pojął i nie zrozumiał, jak w chwili, gdym pańskie tłumaczenie czytał.*" Nerval współpracownik wielu pism czasowych, skończył samobójstwem. Dzień przed śmiercią wezwał listownie przyjaciela Millota, a ten go znalazł w więzieniu. Nerval błąkał się po Paryżu, zajęty obrazami nocy pokrywającej stary Paryż — był to rodzaj studyów najświeższego romansu, którego nie skończył: „*Aurélie, ou le rêve et la vie.*" W tym stanie napotkała go straż i zabrała z sobą. Millot znalazł Nervala w okropnym stanie. W śród trzaskących mrozów był Nerval w tem samem odzieniu, w którem niedawno na dworze w Monachium pod ręką z Lisztem i innemi znakomitościami się przechadzał. Głód, zimno, niedostatek wypiętnowały się na szlachetnej twarzy. Płaszcz który go krył od zimna, zastawił Nerval kilka dni przedtem — wstydził się spotykać w tym stanie z przyjaciołmi — nie chciał iść do ojca, by go nie zmartwić. Z resztą Nerval nie żył w rzeczywistości — dla niego życie było tylko snem: «Rêve ou la vie,» o czem ciągle w swym romansie marzył. Nerval nie należał więcej do tej ziemi. W pośród takiego usposobienia mało go obchodziła rzeczywistość, i w takim zapewne napadzie zakończył życie w ulicy *de la vieille lanterne* — odebrał je sobie sam. —

Smutne te wspomnienia, śmierć Mailàtha i Nervala, budzą współczucie w każdem szlachetnem sercu i zapewne tylko zimna, rachująca lub podła dusza obojętną zostanie czytając o ich losie. Jednakowoż przy całej tragiczności obu wypadków i współczuciu dla nieszczęścia nie można przytłumić budzącej się myśli, że był to brak wiary, brak ufności w siebie i brak silnej woli.

O ileż więcej podnosi myśl i duszę przykład męża prawdziwym hartem duszy obdarzonego. A znamy człowieka żyjącego dotąd, który może służyć w tej mierze za wzór, i pozostanie nim na zawsze. W Bruxelli wśród odległego i ubogiego przedmieścia, na wysokiem poddaszu, mieszka staruszek już sędziwy, którego tam zagnały z innego kraju przeciwne losu koleje. Jeden stolik i stołek przed nim, tapczan za łóżko służący, więcej książkami niż wygodną pościelą zasłany, książki, mappy, rytownicze przybory na ziemi, na stole i półkach ściennych; oto jego pomieszkanie.

Złamany wiekiem i długoletnią pracą naukową, zgarbaciał staruszek, i zgięty we dwoje dzień i noc ślęczy nad książkami, sam pisze, lub na miedzi rylcem wykonywa prace numizmatyczne, które sławę jego uczoności po całej rozniesły Europie. Obok prac historycznych ogromnej objętości i niepospolitej głębokości, obok badań archeologicznych i numizmatycznych, obejmujących kilka narodów i kilkanaście wieków, które by starczyły kilku uczonym na całe życie i na całą sławę, sam bez niczyjej pomocy, nauczył się sztuki rytowniczej, wypracował ją, doprowadził do wielkiej i użytecznej doskonałości, i do własnych dzieł bądź historycznych, bądź jeograficznych, bądź numizmatycznych wyrytował własną ręką 255 blach. I ten człowiek uczony żyje życiem o nędzę graniczącym, w wieku, który już wytchnienia potrzebuje, przy pracy, która także wygód wymaga. I stracił on równą jeżeli nie wyższą od obu samobójców posadę w własnym kraju; był on bowiem professorem w ojczyznie znanym, szanowanym i przyjmowanym wszędzie; był później członkiem rządu narodowego w swoim kraju, i jako taki stał na pierwszym znaczenia szczeblu. On od nich stracił więcej, bo nie tylko byt spokojny, mienie i posadę; on stracił prócz tego ojczyznę, za którą staruszek tęskni całem sercem, a żelazną pracą stara się zagłuszyć bolesne uczucia swoje.

W obcym kraju żyjąc na poddaszu, o suchym nieraz chlebie, nie rozpacza, bo czuje się być mężem, bo ceniąc i rozumiejąc własną wartość, chętnie siebie i wygódki swoje poświęca dla pożytku jaki ogółowi przynieść mogą jego prace. Z wyższego czerstwego stanowiska zapatrując się na koleje rzeczy ludzkich, nie roztkliwia się chorobliwie nad nę-

dzą, tą nieszęśliwą koniecznością ludzkich stosunków, ale pomaga jej o ile może datkiem, a więcej jeszcze pomaga tem, że tej wyższej iskry, jaką weń opatrzność rzuciła, nie zatapia w morzu marzeń spazmatycznych, ale ją siłą ducha męskiego krzepi i utrzymuje, by jasnem i pożytecznem światłem ludzkości całej przyświecała.

Takim jest ten człowiek pracujący w swojej izdebce. Patrzcież teraz na niego, gdy wyjdzie na ulicę, ubrany w prostą wyrobnika bluzę, by wieczorem w ciemnym i ubogim jakim kącie, skromne, a często nędzne spożyć jadło. Ledwie wyjdzie, nie jest w stanie jednej przejść ulicy, by się przed nim nie uchyliły wszystkie przechodzących głowy. I to nie same ludowe bluzy mu się kłaniają, chociaż może pod żadną inną suknią przywiązańsze do niego nie biją serca; najpierwsze kraju osoby, tronu sięgające, kobiety z powozów arystokratycznych wyglądające, wszyscy kłaniają mu się z największem uszanowaniem, bo go cała Bruxella zna i ceni. Król sam znajomy z szlachetnych uczuć swoich, zaprosił go do siebie, i z całą uprzejmością dostojnemu temu panu właściwą, prosił go o uporządkowanie biblioteki królewskiej, i zbioru numizmatycznego; chcąc zaś takiego męża po królewsku wynagrodzić, by mógł dalej pracować w wygodach i spokoju, ofiarował mu kilkadziesiąt tysięcy franków.

Nasz uczony długo obowiązku tego przyjąć nie chciał, a gdy przyjął nareszcie pod warunkiem, że jako wynagrodzenie to tylko wezmie, co sam sobie naznaczy, naznaczył sobie za kilkomiesięczną herkulesową pracę, dwa tysiące franków ledwie. Bo on w darze królewskim jakkolwiek z serca pochodzącym, dostrzegł jałmużnę; a jałmużny nikt przyjąć nie powinien, bo człowiek każdy, może i powinien pracować dla siebie, a nie spuszczać się na cudzą, poniżającą pomoc. To też on to tylko traci na życie swoje, co ciężką swą i mozolną pracą umysłową zarobi. A i z tego umie jeszcze być drugim pożytecznym. Nieraz gdy w wieczornej przechadzce zdybie towarzysza w bluzie, którego powierzchowność zdradza niedostatek, zaprosi go, pożywi, i obdarzy datkiem dla biednej rodziny na jaki mu stanie. A choć sam w ówczas pójdzie głodny do twardego łóżka, zaśnie szczęśliwy i spokojny, po tej godnej niego rozrywce jaką sobie jedynie pozwala. I żaden ziomek (a jeździło ich do niedawna tak wielu,) nie przejedzie przez Bruxellę, aby go nie odwiedził. Znajdzie u niego serdeczne przyjęcie, które go rorzewni przypomnieniem ojczystej gościnności, znajdzie radę zdrową, listy rekomendacyjne, mające po całej Europie wielkie znaczenie, znajdzie nareszcie pomoc pieniężną. Stary uczony ostatni dobędzie grosz, co by mu na długie wystarczył dnie, by nim obdarzyć potrzebnego ziomka Co mu to szkodzi, że potem przez czas jakiś suszyć będzie. Zatopi się w księgi, puści się wstecz potokiem dziejów, na którym coraz nowsze, coraz ciekawsze robi odkrycia, wydobędzie je, oczyści je z pyłu i rdzy wiekowej, co im grozi zniweczeniem, i puszcza je w obieg, uszczęśliwiony pożytkiem jaki z nich spłynąć może dla drugich. Bo on wierzy w to święcie że tak przedwieczna urządziła opatrzność, by każdego człowieka życie wpływało tym lub owym sposobem na ogólny pożytek. Przerwać to pasmo życia samowładną ręką, to jest grzech na przeciw całej ludzkości, to jest słabość niegodna męża, bo jest zaparcie się najpiękniejszego przeznaczenia własnego.

Tym mężem tak szanowanym, i tak szacunku godnym jest ziomek nasz Joachim Lelewel, mieszkający w Bruxelli. Kto nie zna tego nazwiska? kto nie zna jego mnogich zasług? Szczycić się nim będą dwie jego ojczyzny: Polska ojczyzna własna w której ujrzał światło i Belgja ojczyzna przybrana, w której tyle lat przepędził i w której może, aby po najdłuższych latach jeszcze spokojny znajdzie grób. —

Władysław Syrokomla.

Wład. Syrokomla jest u nas jednym z tych ludzi, co od razu, na pozór bez pracy, bez usilności żadnej, zyskali sobie miejsce u samego serca czytelników; Kraszewski i Syrokomla, to dwóch ulubieńców naszego czytającego ogółu; nie tylko z serdecznem zajęciem czytają się ich dzieła, ale w dziełach tych, zwyczajny nawet czytelnik (kobiety osobliwie) odszukuje z miłością to wszystko, co tylko w nich zdradza duszę, charakter moralny poety, jego upodobania, nawet jego życie prywatne, i z tego wszystkiego, z pewnej potrzeby wewnętrznej tworzy się idealny portret autora. Rzecz prawdziwie dziwna, bo dotąd wcale nie można było tego powiedzieć, aby po za książką szukano u nas autora, książka u nas była zwykle bibułą, zabawką, rozrywką chwilową, którą każdy rad był opuścić choćby dla lada czego. Nie rozumiano u nas bynajmniej potrzeby portretów, ani litografowanych, ani literackich; jeżeli krytyk, mówiąc o dziele autora, dawał czasami kilka szczegółów z jego prywatnego życia, pytano go zaraz czyż autor już nie żyje, że piszesz jego biografią? Bo tak u nas było i dotąd jest jeszcze; za życia o autorze nic niegodziło się powiedzieć, jako o człowieku prywatnym a po śmierci nic o nim nie wiedziano; wieszczowie nasi, wpośród XIX. stulecia, jak Homery schodzili ze świata, otoczeni nimbusem tajemnicy; o miejsce urodzenia A. Malczewskiego sprzeczają się dotąd, jakby autor Maryi żył lat temu tysiąc; nikt nawet nie zna z pewnością kąta, gdzie spoczął po goryczach życia ziemskiego tęskny wieszcz Ukrainy. Ale jak tylko wyrobił się w ogóle ściślejszy stosunek pomiędzy poetą a czytelnikiem, zaraz szczegoły biograficzne, jako już zaraz obchodzące każdego, zaczęły przeciskać się po za koło prywatnego życia; czytelnicy wiedzą już mniej więcej, nad czem pracuje ich ulubiony poeta, co go dotyka z bliska; dzielą z nim radość i smutek, jak z bratem którego nawykli kochać i poważać. Portrety, statuetki ludzi zasłużonych, zaczynają się zjawiać z każdym dniem prawie, bo już objawiła się ich potrzeba; serce łączy już jednostki wybrane z massą społeczności, z pośród której oni wyszli; ogół w głosie, w sercu, w myśli tych wybrańców swoich poznał siebie samego, poznał w jakiejsić wysokiej, idealnej postaci; w osobie poety ukochał on ideał człowieka, dążącego do wrażenia wyższych dążeń. Tak jest i tak być musiało. Co do mnie, nic nie masz dla mnie przyjemniejszego jak w dziele wyszukiwać człowieka, z którego myśli wyszło to dzieło; bo zwyczajnie najpiękniejsze okresy, najwybitniejsze sytuacye w książce poety, wypisały się były pierwej w piersi autora krwią życia, ogniem doświadczenia; za ich wpływem wysoki sens ludzkiego ży-

wota wyraża się w pieśni poety pod żywą formą sztuki; forma ta piękna, gorąca obchodzi nas z bliska, porywa do siebie bo to wszystko, czem ona zapala jest ogniem myśli naszych; wszystko czem ona się uśmieni, jest własną krwią naszą. Poeta żyje w nas, a my żyjemy w poecie: wiąże nas węzeł wyższych, szlachetnych, pięknych, a więc poetycznych dążeń ludzkości! Najulubieńszą dla serca mego książką jest teka, w której chronią się drogie dla mnie pamiątki, korrespondencye z ludźmi piszącymi, z ludźmi, których często kocham nieznając, za wodzą jakiejsiś niopojętej sympatyi dusznej. Do takich liczę moje stosunki z Władysławem Syrokomlą, z autorem *gawęd literackich*; w każdym z tych listów innych moich korrespondentów nie maluje się tak żywo prosta, szczera, serdeczna dusza człowieka, jak w korrespondencyi Władysława Syrokomli.

Przepraszam autora Gawęd za to, że wypiszę tu z jednego z listów jego maleńką, daną mi na usilne moje prośby, humorystyczną autobiografię; ten ustęp skreśli najlepiej miły, wesoły humor poety *wybryków*. (D. n.)

Rozmaitość.

* Pani Rywacka pierwsza spiewaczka teatru Warszawskiego, której talent znakomity mieliśmy sposobność ocenić już kilka razy, opuszcza temi dniami stolicę naszą: przed odjazdem swoim wszakże wystąpi raz jeszcze, i to w niedzielę d. 6. b. m. w koncercie publicznym, który tem więcej dla nas będzie zajmującym, że ulubiona nasza artystka dramatyczna p. Aszperger, przyrzekła swoje współdziałanie w części koncertu deklamacyjnej.

* W niedzielę minioną d. 29. kwietnia prócz nabożeństwa w kościele archikatedralnym, odbyło się takież same solenne nabożeństwo w kościele jezuickim za ocalenie życia Jego Świątobliwości Ojca św. Piusa IX. W czasie mszy odegrano muzykę kościelną *Stefaniego* pod dyrekcyą p. *Wojciecha Smaciarzyńskiego*, nauczyciela spiewu przy tutejszem towarzystwie muzycznem. Jest to utwor muzyczny pełen harmonii prawdziwie kościelnej; odznaczył się w nim mianowicie kwartet męskich głosów, złożony z uczniów pana Smaciarzyńskiego, który wykonaniem swojem przyniósł zaszczyt i śpiewakom, i dyrygującemu, znanemu ze zdolności swoich nauczycielowi.

* Tegoż samego dnia odbyło się inne jeszcze nabożeństwo uroczyste w Wołoskiej Cerkwi. Zakład Stauropigialny zrobił układ z znanym malarzem naszym, Jabłońskim, który roku przeszłego malował Cerkiew S. Onufrego do klasztoru OO. Bazylijanów należącą, o wymalowanie i odświeżanie tejże Cerkwi lwowskiej. Owoż w tym celu odbyło się nabożeństwo, by wezwać boskiej pomocy do szczęśliwego rozpoczęcia i ukończenia tego dzieła. Po nabożeństwie i kazaniu zastosowanem do tej uroczystości, robiono składkę w kościele pomiędzy licznie zgromadzonym ludem. Chwalebny to zamysł zaiste, i chwalebnie rozpoczęty. Spodziewać się należy że p. Jabłoński który dał już nieraz dowód swoich zdolności w tej mierze, mianowicie w Cerkwi S. Onufrego, dokoną zaszczytnie tego pięknego dzieła, mającego na celu ozdobienie jednej z najpiękniejszych świątyń naszego miasta.

Przyjechali od dnia 1. do 3. Maja. do Lwowa.

PP. Jażwiński Alexander z Bortnik. Czajkowski z Sarnik. Obmiński Napoleon z Koszarek. Bogusz Alexander z Lubosza. Drohojowski Ludwik z Radłowic. Onyszkiewicz Adam ze Zołczowa. Onyszkiewicz Roman ze Złoczowa. Frank Ferdynand z Nohaczowa. Lipanowicz Stanisław z Rochatyna. Zarzycki Tytus z Chotylub.

PP. Pietruski Konstanty z Podhorzec. Karnicki Felix hr. ze Stojanowa. Czacki Michał hr. ze Stojanowa. Malczewski Władysław z Cześnik. Kawecki Wicenty z Bukowca. Papara Henryk z Bukowca. Bielawski Michał ze Stryja. Janiszewski Ignacy ze Żurawna. Augustynowicz Seweryn z Pilzna. Rodkiewicz Stanisław z Nowegosioła. Kruszyński Henryk z Dąbrowicy. Krynicki Kazimierz z Kłodna.

Wyjechali od dnia 1. do 3. Maja ze Lwowa:

PP. Babecki Kajetan do Złoczowa. Starzeński Józef do Brzeżan. Konopka Kazimierz br. do Biskowic. Humnicki Józef hr. do Rozpucic. Gumoski Hireonim do Przemyśla. Jabłonowski Franciszek do Wierzchni.

PP. Papara do Obroszyna. Drohojowski Józef hr. do Bartatowa. Baworowski Włodzimierz hr. do Krakowa. Szczepański Władysław do Wiśniowczyka. Drohojowski Marcin do Złoczowa. Gasperski Jan do Brodów. Babczyński Alfred do Stanisławowa. Szymanowski Szymon do Spasowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 2. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$127\frac{7}{8}$	Pożyczka 5% $78\frac{3}{0}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{3}{4}$	Akcye banku	967
Londyn za 1 funt szterl.,	12 31	Kolej północna	1845
Medyolan za 300 lirów	$127\frac{1}{4}$	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków .	$149\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$99\frac{1}{8}$
Agio duk. ces. . . .	—	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{3}{4}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	50	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	„	5	„	54	„	5	„	58
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	10	„	10	„	12
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	58	„	1	„	59
Talar pruski	„	1	„	54	„	1	„	56
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	25	„	1	„	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	92	„	40	„	93	„	20
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	„	30	„	73	„	—
5 proc. pożyczka narodowa		83	„	30	„	84	„	30

Lwów, 2. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 40 złr. 15 kr. do 40 złr. 35 kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 30 złr. — kr. Jęczmienia po 20 złr. — kr. do 23 złr. 30 kr. Owsa po 17 złr. — kr. do 18 złr. 15 kr. Grochu po 30 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 23 złr. 30 kr. — Ziemniaków po — złr. — do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 61 złr. 40 kr. do 63 złr. 20 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 45 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 15 kr. do 6 złr. 15 kr. Centnar słomy 3 złr. 8 kr. do 4 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**